



## Zdzisław Brewiński

Sygnatura notacji: **N0173**

Data urodzenia: **20.06.1944 r.**

Data nagrania: **28.08.2022 r.**

Miejsce nagrania: **OBEN, Łódź, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Plaskota**

Czas nagrania: **65 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Zdzisław Brewiński:** Zdzisław Brewiński się nazywam. Urodziłem się 20 czerwca 1944 roku, jako piąte dziecko rodziców: Teodora i Władysławy Brewińskich. Ojciec mój był rzemieślnikiem, właściwie można powiedzieć, rzeźnikiem był. Przed wojną prowadził zakład. W czasie okupacji, no to był u Niemca i po wojnie nadal prowadził zakład do 1948 roku. Byłem dzieckiem małym, ale tę historię pamiętam, jak się tam zaczęły domiary podatkowe straszne. Wiem, że było wielkie zamieszanie, licytacja w domu mebli. Moja babcia wykupiła, no coś tam tego. W każdym razie tak to zostało, że ja długie lata dorosłości, do dwudziestego, miałem nakaz płatniczy długu po ojcu za domiary podatkowe. Ojciec został zlikwidowany, ten zakład, zresztą pochorował się bardzo i w 1955 roku umarł. Rodzice to pochodzili spod Łodzi, ale oni się zainstalowali w Łodzi do 1935 roku. Jak pamiętam z dokumentów, to ojciec kupił jakiś tam domek na Górnej i tak w tej chałupce się urodziłem. To wiem, że niedaleko Tomaszewskiej ulicy. Te wspomnienia, że jak wojsko ruskie szło i strzelało, to właśnie... Mama strasznie się bała. No nieważne, bo to jakby nie tego. No to mama została sama z czwórka nas dzieci, bo mój starszy brat umarł w dzieciństwie. Dwoje tych starszych rodzeństwa, to było dorosłych, to już właściwie lada moment się usamodzielnili. I także mama wdowa pracowała w sklepie, bo jak tu zakład ojca zlikwidowali, no to ona była jakby w to wprawiona, tak że została zatrudniona w MHM-ie – to się tak nazywało. I ja z siostrą, no to dzieciństwo takie spełniłem, pomagając matce. No matka zmagająca się z biedą w tym czasie. No i tak to trwało. No co mam dalej mówić? Szkołę podstawową to skończyłem tam po sąsiedzku na mojej ulicy, bo mieszkaliśmy na Lipowej. To było 6 TPD-owska szkoła, a potem 149, ale wyjątkowo – według moich wspomnień – dobrych nauczycieli miałem. Polonistkę wspaniałą, po polsku uczyła i bibliotekarka, rusycystka, ona... Nie wiem, na jakiej zasadzie... Podobałem jej się, bo ja dostałem dużo książek, które musiała likwidować z biblioteki, takich o Kresach, o tym tego, że ja do dziś mam chyba dwie książki jeszcze z tamtego czasu. Wysoka, szczupła, papiero-

chy paliła. No, bardzo sympatyczna. Znaczący, z dzieciństwa, to ile tam miałem lat w tej podstawówce, to pamiętam, mama była ciągle zapracowana. No to skończyłem szkołę, a no i bardzo cierpiełem. Raz w podstawówce – nie wiem, to pan wytnie, jak trzeba będzie.

### **Tomasz Płaskota: Proszę opowiadać.**

**Zdzisław Brewiński:** Ale to sobie opowiem, bo nie wiem, czy to już w szóstej klasie, czy w siódmej klasie to było. Zorganizowana została przez szkołę Gwiazdka, ale to był nie Mikołaj, tylko Dziadek Mróz. – No tak. – No i wtedy dostałem jako ta sierotka biedna niebieski sweterek taki od tego Dziadka Mroza, jak to było nagłośnione, jak mnie parzył ten sweterek, żeby pan wiedział. Ja to długo cierpiełem po tej imprezie i to lata całe wspominałem tego Dziadka Mroza. I nie daj Dziadka Mroza, tylko Mikołaj i to już mi tak zostało jako ten bunt. A tak to, to ludzie byli dobrzy w podstawówce. Do technikum poszedłem, do technikum budowy maszyn, na Sienkiewicza. Tam zostałem wciągnięty do prowadzenia sklepiku uczniowskiego czyli tam zaangażowałem się w ten ruch spółdzielczy uczniowski. Bo tak mówię o tym, bo przez kilkadziesiąt lat właściwie ta spółdzielnia uczniowska, dopóki byłem w szkole nauczycielem, to też funkcjonowała, bo tam w technikum prowadziłem. Potem jak pracowałem w szkole, to założyłem sklepik, potem byłem instruktorem dzielnicowym spółdzielni uczniowskich. Ta sytuacja za mną szła i to było takie trudne, ale dobre zajęcie, bo wciągało w te relacje uczniów. Z nimi byłem... Aha, bo ja jeszcze jestem uczniem teraz. I to już właśnie byłem tam wciągnięty też w te wyjazdy wakacyjne, obozy wędrownie przez nauczycieli. I też znowu trafiłem. Bibliotekarka, biblioteka, książki, to mnie zawsze pasjonowały. Ja kochałem. I w bibliotece byłem w aktywie bibliotecznym, w technikum. I też pani bibliotekarka Jadwiga Szopnik, świętej pamięci, bardzo dobra patriotka. I to dużo, dużo mnie nauczyła historii. Ona pochodziła z Kresów, właściwie to z Białej... Z Bieszczad teraz. Ale tam miała fragment domu po rodzicach, tam jeździłem z kolegami też na wakacje. I bardzo tak życi byliśmy, mama moja też jej potem pomagała na stare lata, bo ona samotna była, jak tak umierała, obiady woziłem. No takie życie było. Ale po tej linii historycznej, historii bardzo byłem przez nią karmiony, że tak powiem i zafascynowany w ogóle książkami. Był czas, że miałem bibliotekę własną, już doszedłem do tam kilkadziesiątu, ponad dwadzieścia tysięcy, ale potem sprzedawałem już... Dobrze, no i to po skończeniu technikum chciałem na studia iść. Ale nie udało mi się dostać na Politechnikę, nie zdałem po prostu. Otworzono akurat studium nauczycielskie, wydział mechaniczny. Tak że na to studium poszedłem, dwuletnie, czyli po dwóch latach po techniku zostałem nauczycielem. Ja miałem 21 lat, jak pierwszą pracę rozpocząłem w Zasadniczej Szkole Zawodowej na Wodnej, to po salezjańskiej szkole upaństwowionej. Tam nas poszło ze studium czterech chyba. No i pierwsze lata to pracowałem, zajęcia warsztatowe, na warsztatach. Zajęcia warsztatowe prowadziłem. I też już ten sklepik założyłem i to praca była. Taki epizod, nie wiem czy to warto mówić, ale to po linii, to ważne może. Tak jak tego młodzi byliśmy namawiani do partii. Moi koledzy się pozapisywali, powstępowali do partii, a ja nie. I długie lata, a już sklepik prowadziłem, długie lata chodzili za mną i mnie namawiali, przed każdym jakimś tam zebraniem ich. Nawet ten pierwszy sekretarz – ale jak się nazywa, nie wiem – ja mówię: „No ja nie mam co robić, bo to sklepik”. „To, co robisz w sklepiku wystarczy, to już ta działalność, nic więcej nie będziesz...” Nie, to ja chłopakom odpowiadałem: „Wolę księdzu dać pięć złotych na ofiarę, niż składki płacić”, nie? Tak że nie namówili mnie. I tak... A władza była taka dość, był dyrektor bardzo, Niedzielski, najpierw taki komuch, no nie będą obmawiał. Dobrze, w każdym bądź razie, w siedemdziesiątym chyba, w którymś roku, został otworzony przy Politechnice Częstochowskiej wydział mechaniczny dla nauczycieli, zaoczny oczywiście. I tam z naszej szkoły,

no dwóch nas i cały zespół taki koleżeński powstał. Chyba z Łodzi, nie wiem, sześć czy osiem osób, chłopów, nie? Że nawet tam zbieraliśmy się, u mnie w szkole przygotowanie tam, żeby uczyć się matematyki wspólnie. I w każdym bądź razie jeździliśmy na te zjazdy częstochowskie, na tę Politechnikę. Nie wiem czy to trwało 3, czy 4 lata. Nie pamiętam, to chyba w 1976 roku, a w 1980 roku ja miałem ukończone i w związku z tym, że miałem ukończone studia, to ja z tej zasadniczej szkoły chciałem przejść, awansować. No i wtedy mi się udało właśnie, że do technikum samochodowego zostałem. Bo zanim z warsztatów tutaj, na warsztatach jak pracowałem, to przed końcem kilka lat, to przyszedłem na teorię. Uczyłem technologii, materiałoznawstwa, rysunku, czyli przedmioty teoretyczne uczyłem. I później właśnie do technikum samochodowego jak przeszedłem, to jako nauczyciel rysunku i materiałoznawstwa i technologii. I to był właśnie ten pamiętny rok 1980. Jeszcze to odejście ode mnie, z tej szkoły naszej z Wodnej było takie... Tak emocjonalnie też dobrze, że mogłem odejść, bo doszło do takiego głupiego incydentu na zebraniu Związku Nauczycielstwa Polskiego, to w tym roku poprzedzającego chyba było, na pewno przed jeszcze 1980 rokiem, zdemaskowałem fałszerstwo wyborcze dla prezesa ZNP i publicznie to wytknąłem na zebraniu. No ile tak miałem tak oburzone koleżeństwo, że nie wiem. Bo to taki był już etatowy prezes ZNP, przez lata wyborów nie było, on zostawał i zostawał. Jak tu przeszedłem do technikum samochodowego, to na pierwszej, nie wiem, czy na pierwszej, czy na drugiej, bo pierwsza rada powinna być w sierpniu, to chyba jeszcze „Solidarność” się nie zawiązała w ostatnich dniach sierpnia. Nie pamiętam dokładnie, czy to był początek września, czy sierpień 1980. W każdym razie na radzie pedagogicznej, wśród nauczycieli był Józef Janiec, nie wiem, czy zna Pan. Józef Janiec to był nauczyciel po Politechnice zawodowych przedmiotów. Nie wiem, jak mu podpadłem zaufaniem w tych rozmowach, bo on mi się zwierzył, że on tu odrabia Politechnikę i wstępuje do seminarium duchownego. Zaraz po wakacjach, w następnym roku czy jakoś tak. Tak że to on bardzo zaangażowany był w tych relacjach Czuma, Palka, te znajomości. Jak tutaj ten ruch powstał, to on już był na tych wszystkich zebraniach u Palki. Pierwsze zebrania, potem na Sienkiewicza. Tak że tak to przedstawił, że właściwie cała rada pedagogiczna, a to było kilkadziesiąt osób, bo to były warsztaty samochodowe i teorii, szkoła dzienna i dla pracujących, nie wiem, około 80 to na pewno było osób, personelu nauczycielskiego. Cała prawie rada pedagogiczna wystąpiła ze Związku Nauczycielstwa. Nie pamiętam, czy nawet dyrektor również nie. I komitet założycielski zastępujemy do „Solidarności”. Tak że pierwszy ten aneks nasza komisja zakładowa się zapisywało, pierwsze w MKZ-ie jako technikum samochodowym, to aneks nr 11. Tak zawsze w konkurencji, ale my już od 11 numeru mieliśmy zapisanie. No i odbyły się później te wybory, komitet założycielski, do którego Janiec mnie zarekomendował właśnie, a dlaczego, nie wiem, nic takiego nie mówiłem, nic takiego nie robiłem, że mu padło zaufanie do mnie, bo mi tak powiedział: „Słuchaj, chciałbym, żebyś ty, ja tutaj teraz firmuję, ale żebyś ty szedł w to kierownictwo, bo nie widzę kogo innego, a ja odejdę. Przecież to co ja będę startował wybory, jak ja odejdę do seminarium tego”. I tak w ten sposób on mnie wprowadził, wprowadził w to środowisko. I jak się odbyły te pierwsze wybory do komisji, do koła, ja mam dokumenty nawet, bo ja uratowałem z tego, mam teczkę wyborczą akurat. I to w każdym bądź razie tam wybory do „Solidarności” się odbyły, że w pionach nauczycielskich jeden pion, to nauczyciele teorii wybrały jedną osobę, nauczyciele zawodów jedną osobę, pracownicy techniczni jedną osobę. I czwarty chyba administracyjny. Czyli cztery jakby do komisji tej zakładowej, a pozostałe trzy, bo miało być siedem, w ogólnych wyborach. No i tutaj zostałem zgłoszony do tych wyborów i wśród tego wyboru trzech pozostałych osób zdobyłem najwięcej głosów i tak wszedłem do tej komisji. To koło się chyba nazywało czy komisja zakładowa, nie pamiętam, już te nazwy potem się pomyliły i tak. W każdym bądź razie krótko to trwało. Jednocześnie zaczęła pracować Sekcja Nauczycielstwa Polskiego, już jak „Solidarność” się przeniosła na Piotrkowską, to tam było też po-

mieszkanie już Regionalnej Sekcji Oświaty i Wychowania, w skład której sekcji wchodziłem również tutaj z ramienia dzielnicy i brałem właściwie kilkakrotny udział w zjazdach krajowych Sekcji Nauczycielskiej. To było i w Gdańsku, i we Wrocławiu, w różnych miejscowościach. To z Cecylią Skowrońską jeździliśmy we dwójkę przez te wszystkie pierwsze lata, a potem to już wszedł też ten Głuchawski. Tak że tu, jaka przeważała ta idea dla oświaty, że komisje zakładowe w szkołach, w przedszkolach, to nic nie tego, żeby powstały komisje zakładowe na szczeblu dzielnicy. I tak to my lansowaliśmy i właściwie pierwsza w oświacie na dzielnicy bałuckiej, mojej, powstała ta komisja zakładowa na szczeblu dzielnicy. A w poszczególnych szkołach te komisje, które były zakładowe, przemianowały się na komisje wydziałowe. I wśród tego, szkoła i przedszkole, placówki oświatowe również, dom kultury tam na Zawiszy też był. To oczywiście zostałem wybrany na przewodniczącego tej komisji zakładowej. I szybko zaczęliśmy się starać tutaj z dzielnicy i otrzymaliśmy pomieszczenie, komisja zakładowa na Sędziowskiej. Na Sędziowskiej był w pałacyku, do tej pory był Związek Nauczycielstwa Polskiego i nam musieli odstąpić piętro. Znaczący musieli, no odstąpili. Na piętro tam pierwsze, to kilka miesięcy, to można odszukać, ile to było, kilka miesięcy tam mieliśmy siedzibę. Szkoła mnie na pół etatu oddelegowała, czyli do pracy, czyli pół etatu lekcji w szkole zostało, a pół etatu jako już pracownik związkowy. No i tak nas zastał stan wojenny.

### **Tomasz Płaskota: Jak Pan wspomina stan wojenny, wprowadzenie stanu wojennego?**

**Zdzisław Brewiński:** I teraz tak. Tu już na szczeblu byliśmy organizowani dość dobrze, kontakty były. Stan wojenny to była niedziela. Tak jak Pan wspominał, że gdzieś z imprezy wracał, ja też w sobotę wróciłem z imprezy jakiejś. Nie pamiętam, co to była za impreza, w każdym bądź razie, to już dobrze po północy. Tak że nawet radia nie próbowałem chyba włączyć, że działa, nie działa, nic nie wiedziałem. Położyłem się, może w stanie nieważkości trochę byłem i rano, łup – a na parterze mieszkalem, w okno mi pukają i to pukają. Tam członkowie komisji też zakładowej, właśnie Bogna Maurer, która tam wspominała i Marek Krakowski, on też był z tego samego liceum co Bogna Maurer. Na Tuli Pacanowskiej, nie wiem, która to była ulica. I oni walą, ja otworzyłem, i oni przyszli: „Ty wiesz, co się dzieje? Atak na MKZ, Słowik i Kropiwnicki wyrzucają ulotki przez okno, że ich nie aresztowali, że stan taki. No i co tu robić?” No gdzieś tam, nie wiem czy Marek powiedział, czy ktoś, że zostało umówione, że spotykamy się wieczorem na mszy o 18.00 w kościele Świętego Ducha. I tyle było tego. Jakąś ulotkę mi przywiózł, co tam przez okno rzucał Kropiwnicki chyba podpisaną – gdzieś może miałem ją. No i wieczorem na mszy wieczornej na placu Wolności ta grupka nauczycieli, to się sporo ludzi w koło zebrało i szep, szep, szep, szep. I taka inicjatorka następnego ruchu była Anna Gnab. To była nauczycielka szkoły podstawowej Anna Gnab. Ona mówi: „Spotkamy się jutro czy pojutrze, spotkajmy się u Dobrego Pasterza w parafii. Tam prowadzę, czy miałam prowadzić kursy biblijne”, czy coś takiego, czyli na te kursy biblijne, że jesteśmy zapisani. No i tak to było, że u Dobrego Pasterza, raz to chyba w salce parafialnej się spotkaliśmy jako ten kurs biblijny, który został odwołany, ale tam proboszcz umożliwił nam spotkania. Był chyba dom parafialny rozbudowywany i na pierwsze już było wejście po kładkach, ale takie pomieszczenie było już. I tam kilka razy umożliwił nam proboszcz, że się spotykaliśmy. Ci, którzy zostali złapani z naszych kręgów nauczycielskich, bo głównie chodziło mi o połączenie, odnalezienie tych komisji wydziałowych, które stworzyli sami, żeby to utrzymać. Mój zastępca, Ciara, się nazywał Zygmunt, wtedy z tej komisji zakładowej, a on pracował w zespole szkół mechanicznych, chyba nr 4 to było, to on ze mną właśnie robił wycieczki tam, gdzie adresy mieliśmy i po domach odwiedzać, żeby zapraszać. No niektórzy nam nie otworzyli, niektórzy wypięli się od razu

ze strachu. No ale wiele osób się dało ściągnąć. I tak jakiś czas te spotkania takie organizacyjne, żeby połączyć te jako działalność związkową, bo pod tym kątem jeszcze myśleliśmy, żeby zbierać składki, żeby zorganizować zapomogi, wyjazdy wakacyjne, to jakąś taką działalność, tę socjalną związków zawodowych, typowo jako związki zawodowe będziemy prowadzić. A on był nauczycielem WF i prowadził zajęcia też na basenie Startu, na Teofilowie chyba tam gdzieś. I tak kilkakrotnie to zebranie takie, te tajne było na basenie Startu. I tak z czasem w tych rozmowach, spotkaniach, to ludzie różnie tego, ale tutaj jako przewodniczący czułem się jakby odpowiedzialny co dalej. No to Ciara był przy mnie. Ta Bogna Maurer, aktywna, zaufana osoba i dobra jeszcze z przedwojennych tych relacji, polonistka. Jeszcze potem ze Śródmieścia był taki, nie pamiętam, Jacek jakiś, później Bagiński, nie, Bagiński to Józek, Józek Bagiński, Jerzy Wolanowski chyba. I kilka tych, takich sztab jakby ośmiu czy ileś osób się kilkakrotnie spotkało już poza całą grupą tą. No i wśród tych, no takie, ja nie wiem już na jakiej zasadzie, zmówiliśmy się te trzy osoby, bo tego podejrzewaliśmy, za dużo gada, tamten coś tam, nikt specjalnie zastrzeżeń jako takich do nikogo, no Ciara był członkiem partii, ale był bardzo uczynny w tym czasie. No to już do takich tajniejszych spotkań nie byli wciągnięci. Zostaliśmy, i to bardzo szybko, bo to kwestia dni była: ja, Bogna Maurer i Józef Bagiński. To my w trójkę spotykaliśmy się systematycznie co tydzień. Albo u mnie w mieszkaniu, albo u Maurerów. No, adwokat prowadził sprawy te karne, tych uwięzionych broniał. No i zaczęliśmy, tutaj realizujemy tę działalność, no ale potrzeba kontakt, docierać do ludzi i coś więcej niż tylko socjalne rzeczy. I tak powstała ta rzecz, że zaczęliśmy, najpierw zaczęliśmy ulotki takie powielać, odręcznie przepisywać, podaj dalej, bo coś przychodziło. No i taką pierwszą rzecz, którą jeszcze z datą grudnia było „Solidarni”, niby to z Gdańska przywiezione może było, ten tekst, taka krótka ulotka. I to powieliliśmy, przepisywaliśmy i puszczaliśmy. No i tak to zostało, ten tytuł „Solidarni”. Potem następne zaczęliśmy wydawać „Solidarni. Wiadomości Wojenne”. Stąd to się wzięło. Ale przez kilka chyba, pięć, siedem ulotek, to był na bibułce maszynowo przepisywane, tylko jedna trzecia kartki, tylko taka jako ulotka i to nie było jeszcze wcale jako numerowane. Ale jak już doszliśmy do takiej możliwości, żeby na tym powielaczu – nie powielacze to się nazywa, na kalce tej matrycy – wydrukować i odbijać, no to już większy. To ja tak pomyślałem, szkoda to tego. Ten pierwszy numer, daliśmy nr siódmy chyba, bo te ulotki ponumerowałem wstecz, jako pierwszą tę „Solidarni” z grudnia i w ten sposób powstały. Mam te wszystkie bibułkowe odbitki wszystkich tych numerów. Zresztą wszystkich prawie numerów mam, całych „Wiadomości Wojennych”. No i tak to było. No to tak się rozwijaliśmy. Wiadomości wracały tą samą drogą. Postanowiliśmy kolportaż zorganizować w ten sposób, że wśród tych właśnie pierwszych rozeznaczonych, tam chyba osiem osób to było, że tworzymy te osiem grup, w tym też była już, jako Bagiński, że miał tę swoją grupę, ja nie miałem grupy, bo w mojej szkole to była dziewczyna, która mi w szkole dawała bibułę, która wcześniej dostała z kolportażu, no ale to nie ważne. I w każdym razie te osiem grup i na zasadzie takiej, że te grupy łączą się przyjacielsko, według znajomości po pięć, sześć osób tworzą jedną grupę, ale kolportaż odbierają, czyli kolportaż dociera do tych ośmiu, z czasem, bo najpierw było pięć, sześć, siedem, do ośmiu doszło grup. I teraz, jeżeli ktoś nowego zwerbował, że tak powiem, z powrotem do działalności, to już nie zgłaszał nigdzie tutaj dalej, tylko podłączał do siebie. I tak na zasadzie pęczkowania było. I w ten sposób, ja nie znam wielu nazwisk, bo zresztą, nie wiesz, to nie musisz wiedzieć, to nie pytaj. No ale i tak na tej zasadzie rozciągnęły się wpływy poza-nauczycielskie. Stricte poza Bałuty zdecydowanie, bo to i Śródmieście i Górna, tutaj od nas kółka miały te rodziny. Później przez Zgierz dużo przez Skowrońskich. Skowrońska Cecylia ona była aktywna w Zgierzu bardzo, w Sekcji Regionalnej, Regionalna Sekcja Komisji Oświatowej i w Zgierskiej Komisji Zakładowej. No i cała rodzina Skowrońskich, to muszę powiedzieć, była bardzo aktywna. Jej brat Sylwester miał kółko na Teofilowie, szkoła pięćdziesiątka, podstawówka. Drugi brat na Akademii Medycznej pracował.

I tam też przez ten kontakt. Tak że oprócz tej działalności to jakiś czas to też był kolportaż u Skowrońskich na Zawiszy. Postanowiliśmy, że działamy tak jak związki zawodowe. Składki wpływały, w grupach to szło, udzielaliśmy, która rodzina potrzebowała pomocy, to pożyczki oczywiście. To ci grupowi załatwiali, ale powiedzmy, zebrali składkę tysiąc, na papierku przyszło, że osiemset tam komuś. I również zrobiliśmy sondaż taki, anonimowy po nazwisku, ale każda grupa, ile ma rodzin w kółku, to tam pierwsza, druga, piąta, dwunasta, i teraz każda rodzina, ile ma dzieci i w jakim wieku, taką tabelkę. I to wpłynęło ze wszystkich kótek. To mam te karteczki, takie różnej jakości. I my chyba przez trzy lata organizowaliśmy wyjazdy wakacyjne do Murzasichle. Tam wynajmowaliśmy te pomieszczenia. Były to częściowo odpłatne, częściowo z tych składek doptacaliśmy. Tak że znalazłem też z trzech lat taki grafik jakby, kto, w którym domku, kto w lipcu, kto w sierpniu. Oczywiście wszystko zaszyfrowane, żadnego nazwiska bym nie powiedział, kto, gdzie, kiedy był, ale to był nr pierwszy, pięć, osiem A, i tak. I taka działalność trwała bardziej lub mniej. Rozwijaliśmy się. I teraz tak. Ja jako ten w grupie, angażowałem się trochę w kolportaż, no bo siłą rzeczy, ale również i w pewnym momencie w druku. Po tym, powiem to, po tym pisanym ręcznie, dzięki temu Ciarze w jego szkole, czyli w technikum, sekretarka Krystyna, i ojciec był bardzo zaangażowany w taką patriotyczną powiedział postawę taką. I to zostało tak zmówione, że zostałem zapoznany z tym ojcem na Alejach Kościuszki mieszkali przy Główniej, przy Mickiewicza. I tak zostało umówione, że jak my, zespół ten trzyosobowy redakcyjny, odręcznie przygotowuje ten tekst, biuletynu następnego, to ja jechałem z tym tekstem na Zachodnią do nich, w matrycę to, on już miał wcześniej tam podane, i on to wklepywał w domu, rano żona zabierała do pracy, do spółdzielni jakiejś, pracowała na Limanowskiego, a ja tam koło południa jechałem do tej spółdzielni, odbierałem paczkę i na kolportaż. Kilkanaście numerów, tak można zobaczyć, że te ładniejsze to są właśnie tą drogą. To było od marca chyba do lipca na pewno tą drogą drukowane. Potem przyszedł wałek, no to już gorsza technika wyszła. No i jak tutaj działalność trwała, trwała tutaj, wpadki rozwijały się różne, drukarnie to różnie, ja bardziej wchodziłem w kolportaż ten taki i kontakty, że tak powiedzmy, z innymi organizacjami, bo ja powiedzmy, ze szkołami, z tymi ludźmi, natomiast tam z innej organizacji tylko w zasadzie z jednej, z jedną miałem kontakt przez to, że siostra tamtej była nauczycielką. No i tak mnie tam zakopali. A tak to to Bagiński miał te różne kontakty takie i też z drukarzami bardziej, kolportaż taki wyższego szczebla też miał. Tak że to trwało i pewne rozliczenia były w związku z tym. Wydawnictwo... No dobrze, ale to już Pan tam poczytał sobie chyba, bo to w różnych miejscach o tym było mówione.

### **Tomasz Płaskota: Proszę mówić, proszę mówić.**

**Zdzisław Brewiński:** A teraz już przejdę do tego stowarzyszenia. Aha, bo wśród tego ktoś mi zadał pytanie kiedyś: „Dlaczego się skończyło wydawanie?” Bo czym dłużej trwało, to już nie co tydzień, a raz na miesiąc. No bo to już trochę też materia się męczy i też ostrożność i różne rzeczy tego. W międzyczasie wyszła akcja znaczka, zna Pan akcję znaczka? To ja na marginesie mogę potem Panu pokazać i powiedzieć. To jest bardzo uważam, ważna rzecz, nasza wizytówka. Ale teraz tego. I coraz bardziej rzadziej to już się stało i już bardziej swoimi korami. I zazębenia kolportażowe z innymi organizacjami, z innymi miastami. Wrocław, Kraków, Warszawa, „Tygodnik Mazowsze”. To jedni dostawali, przywozili, zawozili to, przywozili tamto. To był ten ruch dość szeroki. No ale w międzyczasie przyszła pora, żeby się ożenić. I w 1986 roku wreszcie się ożeniłem. No i tam szybko doszliśmy do tego, że już spóźniony wiek, że potomstwa raczej się nie doczekamy, a jak się doczekamy nie będzie wiele, a ponieważ pochodziliśmy oboje z rodzin wielodzietnych, a dziadkowie to mieli braci po dwanaścioro, a my tacy wyjątkowi, no to adoptuje-

my. No i od razu zaczęliśmy się starać o adopcję. Nie chcieli nam dać, ale my mówimy: przyjdą do nas, będziemy rodziną wielodzietną. Pierwszych dwóch chłopaków adoptowaliśmy dość szybko. Chcieliśmy jeszcze adoptować dziewczynkę i się urządzić już jako rodzina trzy plus dwa. I wtedy zaproponowano nam przejęcie rodzinnego domu dziecka po kimś. Że pani musi odejść, a tam jest pięcioro dzieci. Jeżeli nie weźmiemy, to będą musiały wrócić do domu dziecka. No trochę szantaż taki emocjonalny. Przespaliśmy się, pomyśleliśmy i w każdym razie weszliśmy w to. Już te perypetie, jak to tam się rozwijało, to nie będę opowiadał, ale w każdym razie weszliśmy w rodzicielstwo zastępcze w ten sposób. I wtedy to lata były już... No koniec osiemdziesiątych lat, przed dziewięćdziesiątym jakimś tak, przed dziewięćdziesiątym jeszcze, w osiemdziesiątym. Likwidujemy domy dziecka, to była taka prasowa rzecz, straszna – Ruch Towarzystwa Przyjaciół Dzieci chyba to nie, inaczej się nazywa, Towarzystwo, nie... nieważne – Polkowski z Warszawy, taka organizacja rodzicielstwa zastępczego, zaczął organizować zjazdy krajowe. I zacząłem jeździć na te zjazdy krajowe, poznawać rodziców zastępczych i rodzinnych domów dziecka z innych miast itd. I to wszystko. I tam poznałem na takim jednym zjeździe Pawła Urbanowicza z Poznania, z Poznania, spod Poznania. I on był takim krzewicielem ruchu zastępczego rodzicielstwa i propagował, że my tworzymy Stowarzyszenie Zastępczego Rodzicielstwa. No i się z nim zaprzyjaźniłem, znaczy w tym sensie, że uznaliśmy zainteresowania wspólne, on mnie zaprosił do Poznania i w ten sposób, raz, drugi, wszedłem do Komitetu Założycielskiego Stowarzyszenia Zastępczego Rodzicielstwa w Polsce w ogóle, tak. Krajowy zarząd stowarzyszenia, do pierwszego krajowego zarządu wszedłem w Poznaniu. Uczestniczyłem w pracy poznańskiego. No później, za jakiś czas byłem inicjatorem założenia łódzkiego oddziału. Jak powstał łódzki oddział, no to oczywiście jako założyciel to byłem tym przewodniczącym pierwszym. Bo tam jest też w notatce błąd taki, że fundację założyłem dopiero w 2008 roku. To niemal równolegle ze stowarzyszeniem pomyśleliśmy o założeniu fundacji w tym sensie, że dzieci tych przybyło, bo już musieliśmy dobrać dzieci, tam była nie czwórka, czyli w efekcie już mieliśmy dziewięcioro dzieci razem z tymi adoptowanymi. Rodzina biologiczna, no tego, a to cukierki, to imieniny Kasi, Frani. Tak to zostało poprowadzone, że nasza rodzina biologiczna wspierać będzie rodzinę zastępczą. Rodzina biologiczna Brewińskich wspiera rodzinę zastępczą Brewińskich. I w ten sposób został sformowany status tego i została utworzona Fundacja Rodzinnej Opieki Zastępczej JA i MÓJ DOM. I to niemal równolegle było, funkcjonowało stowarzyszenie i fundacja. Jakiś czas byłem szefem jednej i drugiej organizacji. Później stowarzyszenie zostało scedowane na innych prowadzących, a fundację właściwie do końca trzymam, prowadzę, bo to jest moja, nasza rodzinna. I w ramach tej fundacji, ponieważ jedno z dzieci, które do nas przyszło, była niepełnosprawna dziewczyna, chyba z porażeniem mózgowym, o którym zostaliśmy też nieuprzedzeni. No nieważne, ale Bogu dzięki, że przyszła, bo to kochana. Ale ona teraz ma już 34 lata chyba. W każdym bądź razie Monisia, nasza kochana, tak się przywiązała, przywiązaliśmy, że to jest nasza córka. Ale i teraz czas według przepisów jest ograniczony pełnoletności, usamodzielnia się, albo jak się nie usamodzielnia, to do opieki społecznej, jeżeli nie da rady. No więc my w życiu ją nie puścimy i nie puściliśmy, tylko została u nas, już nie jest jako na utrzymaniu, bez finansów, nieważne, jest nasza córka, mimo że prawnie to była jako rodzina zastępcza. Rozwiązanie przyszłości jej no trochę spać nie dawało. W jaki sposób zabezpieczyć jej przyszłość? Nasi adoptowani... nie za opiekę, teraz powiedzmy, mamy domek, prawda, i zostawimy ją, domek w spadku tym synom adoptowanym, to już wiedzieliśmy, że zabezpieczenia dla Moniki nie będzie. Jej zapisać nie ma podstawy, znaczy, można by było, ale ona ma rodzonych braci gdzieś tam w świecie, którzy... Jaki znaleźć sposób? I znaleźliśmy sposób, dobry, zły, ale realizowany, że naszą nieruchomość, czyli tej Nowosolnej, w międzyczasie dokupiliśmy drugą działkę, to umową dożywocia przekazaliśmy naszej fundacji. Ale umowa dożywocia dla Moniki. W ten sposób jest zabezpieczona Monika jako fundacja, a fundacja ma zadanie

utworzyć rodzinny dom pomocy dla byłych wychowanków niepełnosprawnych. I tu ma powstać kompleks taki, że dla ośmioro wychowanków dorosłych, którzy nie mogą się usamodzielnąć, będzie prowadzony rodzinny dom pomocy, a przy tym rodzinnym domu będą pod opieką Moniki, która z racji prawa dożywocia tutaj funkcjonuje. No i w tej chwili rozbudowujemy ten dom kilka lat, trzeci rok no i stoi bez funduszy. No nieważne, no to tak było ze stowarzyszeniem.

### **Tomasz Płaskota: Prosimy, żeby Pan opowiedział o tej akcji ze znaczkiem.**

**Zdzisław Brewiński:** Ja pokażę, mam przyniesiony ten znaczek. W rocznicę stanu wojennego, w naszych kręgach mąż jednej z pracownic oświaty był zapalonym filatelistą i on wygłótkował sobie, żeby wprowadzić znaczek dywersyjny na rocznicę stanu wojennego. Szukał jak to zaprojektować, ponieważ technicznie to teraz w takich warunkach konspiracyjnych, to było trudno przy naszych zasobach. Wpadł na pomysł, że było 40-lecie, znaczek wydany na 40-lecie PPS-u [PPR-u]. I zrobić przedruk, nadruk na tym znaczku. Gapa tego i czterdzieści. Rocznica wojny WRON z narodem, no i na taki znaczek. W naszych kontaktach znosiliśmy do pracowników Politechniki, którzy podjęli się, ja skontaktowałem się z tym Montygierdem – świętej pamięci Witold Montygierd – i zaprojektował i szukaliśmy wykonawcy. Przez te kontakty porozumiałem się z pracownikiem Politechniki, który podjął się, żeby to zrobić. Poznałem ich razem. W „Filateliście” w dwóch numerach została opisana cała akcja. Ja mam to skserowane, mogę to panu pokazać. I w każdym bądź razie te znaczki zostały wykupione. To wszystko finansował Montygierd właśnie ze swojej kasy. Wykupywał w Polsce w różnych miejscach całe te bloki PPS-u. Coś mu tam chyba pomogliśmy z fundacji na to, ale to nie jest istotne w tej chwili. W każdym bądź razie zostało sześć tysięcy czy ileś tych znaczków nadrukowanych. I idea była taka, że w rocznicę stanu wojennego wprowadzimy w obieg to na kopertę. Ale traf chciał, że akurat wdrożyła poczta się nie 2,50, tylko podwójnie czy coś, że trzeba było dodatkowo drugi znaczek naklejać, żeby to było możliwe wejście. No w każdym razie to też sfinansowaliśmy i została akcja ustalona na konkretny dzień w Polsce, przez kolportaż międzymiastowy, przez zaufanych ludzi: Warszawa, Wrocław, Piotrków, Kraków. Nie pamiętam gdzie jeszcze, do różnych miast zostało rozdzielonych po tych więcej, mniej, no ale to przez tych kolporterów, te znaczki, które miały być jednego wieczoru, określonej godziny wrzucone do skrzynek listowych. Adresy brać gdziekolwiek, byleby przeszła. Bogna zaprojektowała ulotkę: „odbiorco, nie wiem, kim jesteś, złodziejem, bandytą czy porządnym człowiekiem, zanim pójdziesz do SB z tą kopertą, to zastanów się, że za lat kilka będziesz mógł za nią kupić buty”. No coś takiego. I Polski Ruch Oporu było podpisane i takie ulotki do koperty były włożone. No i oczywiście już bardzo szybko zostało to – ponad cztery tysiące się pochwalili w biuletynach partyjnych – że zostały przejęte, ale część przeszło. Część zostało wysłane przez Montygierda do tych filatelistów zagranicznych. Tak że to była akcja, no uważam, że udana i po roku śledztwo prowadzili głównie, bo w Warszawie najwięcej było rozesłanych i w Łodzi tych listów, no to najpierw w Warszawie weszli, ale potem i w Łodzi. Rewizję do Montygierda przyjechali i zrobili. No to osiem godzin siedzieli. Wszędzie szukali, znaczki, karty przeglądali, jeden po drugim, to już klasery, które miał, a i tak nic nie znaleźli, a i tak go zabrali na Mostowskiego, tam ileś był, ale też mu nic nie udowodnili. Na rocznicę tę, 40-lecie „Solidarności” w Łodzi, bo Montygierowie umarli, zarówno Ika, jak i Witek, a córka Ewa, mąż przejął nazwisko po żonie, to też Montygierowie, zostali przedstawieni na zjeździe „Solidarności” Łódzkiej.

### **Tomasz Płaskota: Regionu, tak?**

**Zdzisław Brewiński:** Tak, jak ta ulica się nazywa. No Buczka dawna, no to... A nie, to jest na Słodzi... Dobrze, no nieważne. W każdym bądź razie i ja byłem poproszony i oni i wtedy dostałem odznaczenie i oni też i wtedy takie te znaczki, bo kilka zachowanych było, jeszcze jest parę. I także dostał Kropiwnicki znaczek, prezes łódzkiej „Solidarności”. No, w każdym bądź razie tak to ta akcja się odbyła.

### **Tomasz Płaskota: Jak Pan wspomina przemiany, które rozpoczęły się w 1989 roku?**

**Zdzisław Brewiński:** Wie pan, z mieszanymi uczuciami, bo ta niezgoda, jaka wtedy panowała, w kręgach łódzkich szczególnie, między starymi władzami regionalnego, czyli Słowik, Kropiwnicki, Palka jeszcze żył chyba, a nową strukturą Kostrzewy, to nie do pogodzenia. I ojciec Miecznikowski, jezuita się angażował w to pojednanie i było wiele spotkań, a to nie szło. I tak, no i oczywiście to, że to nie kontynuacja „Solidarności”, tylko jakaś „Nowa Solidarność” i tak dalej, to też negatywnie oceniałem tę sytuację. Natomiast bardzo mnie bolała sytuacja też niezgody w oświacie nauczycielskiej, bo też była kontynuacja łukawskiego – bo jest łukomski i łukawski – Wiesława Łukawskiego, który był przewodniczącym Regionalnej Sekcji Oświaty Solidarności, a przewodniczącym – jak to się nazywała – organizacja nauczycielska, czy jakoś inaczej, Wiśniewski chyba prowadził wtedy. To też konkurencja tutaj między tymi zgrupowaniami pracowników oświaty, nauczycieli, przedszkolank, to wszystko. Ja w tym czasie, ponieważ tak, to muszę wrócić do mojego życia, że jak się... Aha. Bo to było tuż jeszcze troszkę wcześniej, jak się pobraliśmy, a jeszcze nie weszliśmy w rodzinę zastępczą, tylko miałem adopcję, to ze szkoły tutaj z Proszka wtedy, z tego pół etatu, tam niektórzy napisali na Naszej Klasie, że zostałem wyrzucony ze szkoły. Nieprawda, nie byłem wyrzucony. I ojciec mojej żony, w Tomaszowie, bo ona tomaszowianka, prowadził zakład przetwórstwa tworzyw sztucznych i chętnie widział zięcia, to się nazywam, żeby przejął to po nim, prowadzenie tego interesu. I tam przy tym zakładzie był taki domek, drewniany stary, gdzie tam żebyśmy zamieszkali. I ja zwolniłem się tu ze szkoły, i z żoną i z tymi dwoma chłopakami adoptowanymi przenieśliśmy się do Tomaszowa i zostałem zatrudniony przez ojca. No i dwa lata funkcjonowałem jako tam prowadzący niby to przetwórstwo, chociaż ojciec nie chciał z ręki wypuścić jednak tego. No i wtedy rzuci... No doszliśmy, że niefunkcjonowanie dla nas tam jest w Tomaszowie, tym bardziej z dojazdami do Łodzi, bo nas uwiązała wspólnota neokatechumenalna, bo jesteśmy u jezuitów w takiej wspólnocie, także dojazdy, wróciliśmy po dwóch latach. No to wtedy do szkoły, której? Do mojej szkoły, ponieważ na Wodnej tam zmiany nastąpiły, już zmiana kadrowa, pokoleniowa była też w obsadzie kadrowej. Tak że kierownikiem warsztatów był też jeden z moich tych wcześniejszych kolegów. Pasowało mi wrócić na warsztaty, a on mówi: „Mam miejsce w magazynie, jako nauczyciel magazynowy”. I to mi pasowało i wróciłem na dwa lata do szkoły na Wodną, czyli na Widzew z powrotem. I wtedy Łukawski też był na Widzewie, zakładaliśmy „Solidarność Nową”, odtwarzaliśmy Widzewską, nie? Jako Widzewską, czyli też komisja w tej szkole na Wodnej powstała, ale jednocześnie w ramach sekcji, zamiast tego Łukawskiego, który był też na Widzewie, ale jednocześnie w sekcji, żeby te wspólne wybory. Ja dążyłem do tego, żeby utworzyć wspólny komitet wyborczy do nowych władz sekcji, no bo to o tę sekcję walka była, tej nauczycielskiej. I doprowadziłem do porozumienia, mam dokumenty takie, zapisów, że doszło do porozumienia wspólnego między dawną, prawie odbitą, Regionalną Sekcją Oświaty, że doprowadziłem do wspólnych wyborów do sekcji, do Komisji Zakładowej Widzewskiej. Zresztą to różne dzielnice wtedy się też na tym liczyły. No i na tym zakończyłem moją działalność solidarnościową w ogóle, no bo potem ze szkoły tej, po dwóch latach przyszedłem już tylko na rodzinny dom dziecka, to wtedy rzuciłem pracę, ale to też nie było to na utrzymanie, no bo żona była jako

prowadząca, a ja mąż swojej żony. Tak że poszedłem religii uczyć do szkoły podstawowej. Przez dwa czy trzy lata byłem nauczycielem religii. Już bez „Solidarności”, bez niczego. I tak to się tego... Także te wspomnienia. To część ludzi było niezadowolonych. Nasza taka, to nie wspominałem, ale bardzo zaangażowana w czasie stanu wojennego Krystyna Toruń, ona prowadziła bibliotekę naszą. Jak z kolportażu były książki różne, to zawsze jakąś jedną pozycję do biblioteki. Zgromadziła kilkadziesiąt albo można powiedzieć kilkaset książek. Niektórzy byli aktywni w wypożyczeniach. No i po stanie wojennym, po tym 1989 roku, to całą pakę tych książek przekazała do Biblioteki Waryńskiego. Na Gdańskiej, tych książek. Część, którą miała w prywatnej bibliotece, przekazała do mnie, mam tam kilkanaście, kilkadziesiąt może pozycji jeszcze takich. Ale ona już na „Solidarność Nową” się pogniewała, bym powiedział, nie uznawała. Tak że z tych dawnych działaczy, no to Krysia Toruń była bardzo aktywna, znana i potrzebna. Później jeszcze kogo... Wśród kolporterów, myślę, że to pierwsza bardzo aktywna, jedna z pierwszych – Teresa Kostek (Kostecka?), ona na Marysińskiej mieszkała, jej mąż był tramwajarzem, to ona długo prowadziła, u niej punkt był przenoszony i rozbierany, ona wiersze pisała, ale ona była prześladowana w dzieciństwie przez bezpiekę, już nie pamiętam jej kwit dokładnie. Tak że to była taka bardzo postać. Dużo mieliśmy postaci takich aktywnych. No to tyle. Tak że ja w tej „Solidarność Nowej” to już nie, w ogóle nie jestem w związku żadnym, no bo już emeryt. No ta Basia Kupsik, co Stasiu wspomina też, no to ona prowadziła kółko piąte u mnie w tych kolportażowych, ale też miała kontakt z tymi twórcami, te materiały do Biuletynu, do Wiadomości, bo oprócz tego jeszcze „Prześwit” był wydawany i takie Zeszyty Edukacji Narodowej, kilkanaście, nie mam żadnego.